

## **Namiot na Krakowskim Przedmieściu**

Historyk sztuki, poeta i bard, a przede wszystkim wielki znawca i sympatyk Sarmacji – Jacek Kowalski z Kórnika pod Poznaniem, z którym miałem przyjemność nagrać dwugodzinną audycję w programie 3 PR (emisja 7 minut po północy 31 maja br.), zauważył, że „Rzeczpospolita znowu przypomina namiot”. A namiot pojawiał się na miedziorytach „srebrnego wieku” Sarmacji, w czasie „złotej wolności” na polu elekcyjnym i w czasach upadku Rzeczypospolitej. Namiot naszych czasów, podtrzymywany przez Stowarzyszenie „Solidarni 2010”, stoi na Krakowskim Przedmieściu, w miejscu kiedyś pilnie strzeżonym w czasie stanu wojennego. Tu także, 150 lat temu, ta najsłynniejsza warszawska ulica stała się miejscem wyrównania rachunków ze zdrajcami Ojczyzny.

Rzeczpospolita jako namiot to trafne poetyckie spostrzeżenie, niepozbawione jednak wielu racji historycznych, gdyż pod namiotem albo wokół namiotu decydowały się sprawy najważniejsze dla Polski. Wokół namiotu na Krakowskim Przedmieściu także decydują się najważniejsze sprawy Polski, choć nie wszyscy sobie z tego jeszcze zdają sprawę. Namiot Solidarnych 2010 ma poruszyć sumienia. Na doczepionym do niego plakacie są wypisane cztery postulaty. Protestujący domagają się dymisji Donalda Tuska, Tomasza Arabskiego, Radosława Sikorskiego, Bogdana Klicha i Jerzego Millera, (a więc osób odpowiedzialnych za organizację lotu prezydenta Lecha Kaczyńskiego do Smoleńska), powołania międzynarodowej komisji

do zbadania katastrofy, zgody na ekshumację ciał ofiar i ujawnienia zdjęć satelitarnych z dnia katastrofy.

Znowu, jak przed wiekami, rozlega się głośne „liberum veto”. Sprzeciw wobec kłamstwa i bezprawia, „wolne słowo” wolnych ludzi wobec obłudy rządzących i ich cynicznego grania Polską, wołanie o prawdę i sprawiedliwość. I na nic zdadzą się próby ośmieszenia tej garstki desperatów sumienia. Za nimi prędzej czy później pójda inni.

Zaraz, zaraz, ktoś powie. Przecież „liberum veto” przyczyniło się do upadku Rzeczypospolitej, symbolizowało anarchię, przekupstwo i warcholstwo szlachty na sejmikach. A cóż my wiemy o „utraconym szlachectwie Polaków”, jak zauważył prof. Andrzej Waśko z Krakowa. Jedynie tyle, co wmówił nam PRL, któremu czarna legenda Polski szlacheckiej bardzo pasowała do komunizowania Polski. Tak jak pasowała dawna idea oświeceniowa, do której starali się podłączyć piewcy postępu szkoleni na kursach bolszewickich w Moskwie. Podział na postępowców, modernizatorów, ludzi nowoczesnych oraz Polaków zacofanych, konserwatystów, przeciwników zmian, (moherów) z taką samą konsekwencją utrzymywała III RP, i nie tylko w tym znaczeniu była i jest ona kontynuatorką PRL-u. Czy nie w obcym interesie było kiedyś i jest dziś utrzymywanie tego anachronicznego, z gruntu zafałszowanego podziału Polaków? Liberum veto, instytucja polityczna i kulturowa I Rzeczypospolitej miała dobre i złe strony, ale o tym, które przeważały, decydowały konkretne okoliczności. Jeden poseł

mógł zniweczyć wysiłek reformatorski pozostałych, ale musiał się liczyć z poważnymi konsekwencjami, nawet z utratą życia. Z drugiej strony niemożliwością było przekupienie wszystkich posłów, aby przeforsować złą ustawę, narzuconą przez skorumpowaną mniejszość działającą w interesie obcych. Zawsze bowiem znalazłby się jeden sprawiedliwy i krzyknął - „liberum veto”. Kiedy już ówczesni Polacy dojrzeliby do zniesienia tego wielkiego przywileju osobistej obywatelskiej odpowiedzialności za „wolne słowo”, osłabiałoby ono Polskę wobec despotycznych tyranii sąsiadów, Katarzyna II jako jeden z warunków narzuconych Rzeczypospolitej stawiała utrzymanie w Polsce instytucji „liberum veto”.

O „utraconym szlachectwie” kazano nam zapomnieć i nie płakać po nim. Wpisano je na listę naszych licznych wad narodowych. Kiedy w 1990 roku na forum Komitetu Obywatelskiego Tadeusz Mazowiecki przestrzegał przed „polskim piekłem”, które może zniszczyć rodzącą się demokrację, otrzymał burzliwe brawa. „Siły postępu” ostrzegły ciemnogród przed zgubnymi skutkami swarów i kłótni. Wolność słowa, polskie echo dawnego „liberum veto”, zostało przytłumione. Znowu miało się okazać, że Polacy nie dorośli do demokracji, pozostają w błędzie co do swoich praw i obowiązków, gdyż jedynie wpływowa „postępowa” mniejszość z peerelowskim rodowodem i jej duchowi wychowankowie może wiedzieć, czym jest prawdziwa demokracja. Reszta to wciąż niedojrzali antenaci polskiej szlacheckiej swawoli.

To dobrze, że coraz częściej młode pokolenie Polaków, a prym wiesz tu Jacek Kowalski, dociera do źródeł dawnej Sarmacji odnajdując w nich nie „polskie piekło” a oryginalne, pozytywne narodowe cechy.

**Wojciech Reszczyński**

Autor jest komentatorem w Programie 3 Polskiego Radia SA

249Nasza Polska 24.05.2011